Ner 7. Kraków, 18go Lutego. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie	6 zł. —	c. w. a.
Półrocznie	3 „ —	
Kwartalnie	1 „ 50	„ „ „
Miesięcznie	— „ 50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie	10 zł. 20	c. w. a.
Półrocznie	5 „ 10	„ „ „
Kwartalnie	2 „ 55	„ „ „
Miesięcznie	— „ 85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi

Bez mód:

Rocznie	7 zł. 20	c. w. a.
Półrocznie	3 „ 60	„ „ „
Kwartalnie	1 „ 80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie	11 zł. 40	c. w. a
Półrocznie	5 „ 70	„ „ „
Kwartalnie	2 „ 85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Upraszam o spieszne łaskawe nadesłanie zaległości.

Redaktor.

Wykład literatury Polskiej.

(Zob Nr 5).

Oto główny zarys, który w ciągu rozwiniemy — tło, na którem rozłożymy teraz pojedyncze chwile, postacie z całym zasobem światła i cieni.

Ale ponieważ (jak wprzódy mówiliśmy), literatura jest objawem życia wewnątrznego, a to życie jest podwaliną, jest przyczyną zewnętrznego tj. dziejów narodu, i te dwa światy są w ciągłem, wzajemnem oddziaływaniu na siebie: więc, rozpoczynając jaki okres, rzucimy pierwej zarys kilku ważniejszych chwil dziejowych, o ile one mają wpływ na literaturę lub są jej wypływem. Dalej ponieważ tylko gienialni i bardzo utalentowani pisarze są zwierciadłem, ogniskiem, wyrazem swego wieku, a tem samem i literatury, przeto tylko takich poznawać tu z gruntownością będziemy nie uganiając się za szperaninami bibliograficznemi, które w niczem by nam nie pomogły do zbadania ducha epoki; ale owszem zanieczyściłyby przejrzystość obrazu. Słowem pisarzy główniejszych z calą możebną gruntownością rozbierzemy, wykazując psychologiczne oddziaływanie pisarza na naród, i narodu na pisarza.

Po tym wstępie, koniecznym tutaj, przechodzę do rzeczy:

Okres pierwszy (700—1000).

Wieki przedchrześciańskie — zabytki — literatura ludowa

Czasy te, zapadłe w głębokiej przeszłości, są dla nas dotąd sfinksową zagadką, do rozwiązania której jedynemi źródłami są mogiły stare, zbroje i narzędzia wykopywane w horodyszczach, i urny i kości na uroczyskach i posążki bożków, opatrzone runami [1]), a wreszcie kilka pomników literatury, niektóre pieśni ludu, tradycya przechowana w ludzie i wzmianki jakie o Słowianach czynią greccy, rzymscy i niemieccy pisarze.

Z tych więc okruchów złożymy obraz dziejów i literatury przedchrześciańskiej, i choć kilka błysków rzucimy na te ciemne wieki.

Dzieje. Słowianie w niepamiętnych czasach rozsiedli się na szerokich równiach od morza Czarnego ku Baltykowi, i na dolinach Dunaju [2]) ku Adryatykowi. Już

[1]) Alfabet runiczny w Lelewelu: *Polska wieków średnich*, jaki podaje przy odczytywaniu napisów na posążkach bożków odkopanych w meklemburskiem.

[2]) Wspominany często w pieśniach gminnych „głęboki Dunaj“ utwierdza w tem mniemaniu.

rolnicze zatrudnienie tego ludu upewnia nas, że nie nagłą wędrówką posuwał się ku północy, jeno powolnem zakładaniem osad w miarę wzrastającej ludności [1]).

Był to lud gościnny i prostych obyczajów. *Namiętności jego więcej żywe, niż trwałe;* łatwo zapominał krzywd, ale nigdy dobrodziejstw. Na urodzajnej rozplemieniony ziemi, poprzerzynanej rzekami: Łabą (Elbą), Wisłą, Dunajem i Dnieprem, żyjący po wsiach wśród lasów szerokich niewyrobił w sobie życia społecznego, narodowego; ale za to rodzinne bardzo rozwinął.

Mieszkał pod rządem i sądem najstarszego z gminy i jego rady (przysięgłych) [2]), którzy w horodyszczach (miejscach obronnych, w okopanym gaju) sądy miewali [3]).

Na zgliszczach za wsią palono ciała zmarłych, a na uroczyskach (cmentarzach) chowano ich prochy a nawet i ciała, bo zwyczaj palenia niewszędzie był rozpowszechniony. Zabawy ich musiały mieć wiele podobieństwa z zabawami i obrzędami ludu naszego, i wpatrzenie się w to życie [4]) więcej wyjaśni nam zapadłe wieki naszego poczynania się, niż niewyraźne wspominki greckich i rzymskich pisarzy, które, choćby nawet nie były fałszywe, mają tę słabą stronę, że często podają *przypadkowe* tylko objawy charakteru, oswiaty lub czynów Słowian, zkąd wniosek często zawodny być może.

Jednak to życie rozstrzelone niemogło trwać długo wśród zamieci wędrujących narodów, i niebawem uległo wpływowi i mocy innych wojowniczych narodów czy obcego szczepu, czy też prawdopodobnie słowiańskiego, który żyjąc na granicach Słowiańszczyzny wcześnie przy-

[1]) Nawet nacisk wędrujących ludów, szczególniej Awarów niewyparł ich z swych siedzib, i przywiązanie do ziemi uczyniło ich poddanemi wojowniczego narodu; co później i na północy się powtórzyło.

[2]) Zwyczaj ten utrzymał się dotąd w naszym ludzie.

[3]) Ztąd wyrażenie sejm zagaić, rozesłać wici.

[4]) Zdrowy w tym względzie podaje plan Kołłątaj, gdy radzi poznawać lud z każdej jego strony, a osobliwie: 1) różnicę w *jego mowie*, albo w dyalektach jednej mowy. 2) różnicę w *ubiorze*, nietylko co do kroju ale i koloru. 3) każdy *obrządek* przy godach weselnych, urodzinach, pogrzebach. 4) jego *zabawy, muzykę*, instrumenta muzyczne, gody, pieśni, bajki, historye. 5) *gusła i zabobony* i zwyczaje pogańskie. 6) *postacie i fizyonomię.* 7) *gatunek pożywności*, sposób zaprawiania onych, mieszkania, gatunki sprzętów. 8) *pasterstwo* i *rolnictwo.* 9) *rękodzieła* ludu. 10) *nałogi* i *wady.* 11) *choroby* szczególne i sposób ich leczenia między ludem.

Niezapominajmy że Kołłątaj powziął tę myśl jeszcze w r. 1802, w więzieniu w Ołomuńcu, a więc znacznie wcześniej przed Zoryanem Chodakowskim.

muszony był bronić się przeciw obcym napadom, wcześnie przyszedł do pojęcia rządu, towarzystwa. Być więc może, że słowiańskie ludy parte coraz bardziej zewnątrz, cofnęły się w głąb Słowiańszczyzny i stanęły tu i ówdzie jako naczelniki ludu rolniczego nie umiejącego albo nieprzyzwyczajonego władać bronią [1]). Tu zapewne odnieść należy owo mityczne podanie o przybyciu zbrojnej drużyny Lecha, Czecha i Ruryka. Żeby te wędrówki w jednym czasie nastąpić miały i wszystkie z południa, wątpić należy zwłaszcza, co się tyczy Lecha, także i Ruryka, który jak wiemy miał przybyć ze Skandynawii. Odtąd więc do pierwiastku rolniczego Słowian (późniejszy lud) przymięszał się pierwiastek rycerski i te dwa pierwiastki stanowią istotę późniejszego bytu Polski.

Ponieważ te wędrówki wojennych szczepów nie szły z jednego źródła i nie w jednym czasie, więc te szczepy każdy na swoją rękę nowe państewka tworzyły, mięszały się, podbijały lub podbite ginęły w innyeh. — Według Lelewela dzielimy Sławiańszczyznę na *zachodnią:* (Lutycy, Wilcy, Obotryci, Milzeni, Syrbowie, Pomorzanie itd.), która w ciągłych wojnach z ceserzami i margrafami niemieckiemi uległa nakoniec wpływowi chrystyanizmu i germanizmu, zachowując jednak niezatarte znamiona swego pochodzenia słowiańskiego w obyczajach i obrzędach — *wschodnią:* (Nowogrodzanie, Polanie, Siewierzanie, Płoczczanie, Bużanie, Radymczanie, Wiatyczanie i inni), gdzie pokolenie skandynawskie Waregów wprowadziło feudalizm zachodu i pogodziło go z grubemi obyczajami mieszkańców — nazwa tej Słowiańszczyzny *Ruś* — *południową,* (obejmującą Serbię, Bułgaryę, Mołdawię, Dalmacyę, Ilirye i t. d. Kraje te, (oprócz dwóch ostatnich), walczyły długo i rozpacznie z naciskającymi ich z dwóch stron Węgrami i Turkami, aż na Kosowem polu rozstrzygł się ich los, — szerzej o tem powiemy przy pieśniach serbskich ludowych — i w końcu *środkową:* (Biała i czerwona, czyli wielka i mała Chrobacya, Mazowsze, Łęczyca, Kujawy itd.), ta część Słowiańszczyzny później nazwisko Polski przybrała.

Narody na pograniczu Słowiańszczyzny wcześniej się podniosły niż inne, i u nich pokazują się na niektórych punktach miasta, gdzie się kupiło życie handlowe [2]). Do najstarszych policzyć bezwątpienia musimy Nowogród, Kijów, Arkonę na wyspie Rugii, Winetę nad Odrą przy Bałtyku, Julin, Wolgast na Pomorzu, Retrę i inne. *(C. d. n.)*

DOMNA ROZANDA,

Opowiadanie historyczne;

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

(Ciąg dalszy).

Zerwany w istocie sejm ułatwił Chmielnickiemu nad spodziewanie wyprawę. Nieuchwalona z powodu zawichrzonych obrad zapłata wojska, nieuchwalone z tej przyczyny posiłki nowe, pozostawiły hetmana Kalinowskiego w najsmutniejszem ogołoceniu z głównych środków obrony. Przydłuższy pozór zaniechania dawnych planów wołoskich przez Chmielnickiego uspokoił chwilową trwogę panów polskich w tej mierze, uspił baczność dotychczasową. Niespodziewając się żadnego nagłego niebezpieczeństwa, założył pan hetman Kalinowski ogromny obóz pod Batowem u brzegów Bohu, i ściągał powoli wojska ku niemu, gdy w tem doszło go od Chmielnickiego ostrzeżenie listowne, iż syn jego Tymoszek przeciągać będzie tamtędy na wesele do Wołoch. Ponieważ między jego Kozactwem a stojącemi pod Batowem chorągwiami polskiemi łatwo za spotkaniem do zaczepki przyjść może, przeto radzi i prosi Bohdan Chmielnicki, aby pan hetman ustąpił z drogi synowi.

Czy szczera czy podstępna, była to zawsze rada zuchwała. Żaden hetman nie mógł jej przyjąć; ale każdy inny byłby raźniej i oględniej przygotował odpowiedź na nią. Tymczasem Kalinowski nie znał bynajmniej położenia swojego, mylił się najzupełniej co do siły nieprzyjaciela, zaniedbał najpowszedniejszych środków obrony. Mając do 9000 dobornego rycerstwa pod swojemi rozkazami w obozie, nie spodziewał się hardy wojownik więcej nad kilka tysięcy zgrai kozackiej z Tymoszkiem, którą nietrudno było rozbić ze szczętem. Iżby Tatarzy towarzyszyć mieli wyprawie ślubnej, nie przypuszczał omylony fałszywemi zwiadami hetman. Według owej listownej przestrogi Chmielnickiego znajdował on się pod tę porę w Czehrynie, obcy a nawet przeciwny całej wyprawie Tymoszkowej, która tem głównego pozbywała postrachu:

Zaczem ochoczo wyglądając nieprzyjaciela, nie zraził się wcale pan hetman polny, gdy dnia 1go czerwca nad ranem zamiast Tymoszka okazali się pod Batowem Tatarzy. Zagajony natychmiast harc przekonał wkrótce o przeważającej sile pogaństwa, przed którą podjazdowe chorągwie polskie musiały ze stratą cofnąć się do obozu. Stanęła tam z niemi wiadomość o nadciąganiu z Tymoszkiem 40tysięcznej Ordy pod Nureddynem sułtanem, a dzień jutrzejszy wyprowadził w istocie obudwóch sprzymierzeńców na widok. Towarzyszył im owszem trzeci, najgroźniejszy ze wszystkich, sam Bohdan Chmielnicki, w kilkadziesiąt tysięcy jazdy. Szeroki, bezbronny, ani połową przeznaczonego mu wojska nie zapełniony obóz hetmański ujrzał się naraz opasanym dokoła chmurami wrogów — niezdolnym rzeczywistego odporu — pewnym nieuchronnej, doszczętnej zguby.

Postanowiono wprawdzie nie uledz przeznaczeniu bez boju, lecz byłato raczej jakaś chaotyczna, najsprzeczniej opisywana, bo też niepodobna do opisania zamieszka, niż bój, niż bitwa. Na domiar zamętu wybuchł za rozpoczęciem walki straszny pożar pomiędzy napiętrzonemi w obozie stertami siana i zboża, które, tysiącem ognistych snopów wzlatując w podmuchu wiatru, zasypywały Polaków zewsząd morzem płomieni. Gdy część odpartej przemocą jazdy koronnej wahała się uderzyć powtórnie na szturmujących do obozu pohańców, kazał rozgniewany Kalinowski ustawionej z tyłu piechocie dać ognia do niej, czem mimowolnie popchnięta jazda przeniosła bój za okopy. Walczono jednocześnie w obozie, na wałach, w polu, walczono z wielu naraz wrogami, gdyż z Tatarstwem, z Kozakami, z pożarem, z ogniem własnych współbraci.

„Nareszcie tejże godziny za nastąpieniem Chmielnickiego nie mogliśmy ich wstrzymać“ — donosi nazajutrz po bitwie jeden z dziesięciu ocalonych pogrobowców okropnej klęski — „ale nas okolusieńko ogarnąwszy, Orda na szable a Kozacy taborem tak opanowali,

---

[1]) Taką przemianę społeczną widzimy u wszystkich kolebek narodów, że zaś wzajemny stosunek mieszkańców pierwotnych do przybyszów niebył tak ciężki, jak gdzie indziej, to właśnie nas przekonywa, że tu niebyło przeboju, walki, jeno wzajemna umowa jak np. między patronem a klientem.

[2]) Handel prowadziła szczególniej Ruś z Niemcami przez Nowogród i Rygę, i z Grekami przez Kijów. Dowody na to mamy w układach wzajemnych kupców, i w prawach Jarosława w prawdzie Ruskiej.

iż z gruntu nas ze wszystkiem wojskiem zniesiono.“ Mniejsza połowa wojska z hetmanem polnym Kalinowskim i resztą wodzów na placu boju poległa, większa połowa z kwiatem rycerskiej młodzi polskiej dostała się w jasyr Tatarom. Zwłaszcza zaś w razie obecnym stała się niewola pogańska stokroć sroższą od śmierci w boju. W osobliwszem bowiem rozpasaniu mściwej srogości zdjęła Kozaków ochota wymordować wszystkich Lachów pojmanych, choćby ich drogiem mytem wykupić przyszło z rąk Ordy, która inaczej nie chciałaby postradać swoich brańców. Cała bitwa batowska była dla Kozaków jakby tylko szczęśliwą przygodą ich weselnej wyprawy na Wołoszczyznę, i jakby też w chęci sprawienia sobie igraszki w drodze, postanowili swatowie Tymoszka wytargować u pohańców 5000 głów szlacheckich na rzeź.

Tatarzy nie chcieli początkowie zezwolić na taką sprzedaż. Potrzeba było dopiero weselnego bankietu w namiotach Tymoszka i Bohdana, dopiero podpojenia zaproszonych na ucztę wodzów tatarskich, aby wymusić na nich podanie ręki do zgody. Przy gęstych jednak kielichach na cześć swadźby wołoskiej, za pomocą owych nieskradzionych jeszcze przez panią Chmielnicką i jej amanta baryłek złota, ostatecznym targiem za 30,000 czerwonych złotych, kupiono od Tatarów całą resztę jeńców koronnych. Nazajutrz rano przed namiotem Chmielnickich i Wyhowskiego, szablą najętej ku temu hordy nogajskiej, rozpoczęła się rzeź — rzeź około pięciu tysięcy ofiar, przez kilka dni w obliczu pijanej zgrai kozackiej mordowanych. Zginęli w ten sposób na pamiątkę wesela Tymoszkowego brat późniejszego króla Jana III, Marek Sobieski, syn zabitego hetmana Kalinowskiego, a małżonek owej nad wszystkie hospodarówny ukochanej kanclerzanki Urszuli, Samuel Kalinowski, z mnogiem gronem senatorskich synów i bratanków najpierwszej krwi. Sam hetman polny koronny musiał dnia wczorajszego oddać głowę na żerdź tatarską, obnoszoną teraz po zwycięzkim obozie.

„Jak Polska Polską“ — skarży się jeden z głosów spółczesnych — „nie uderzył w nią piorun straszniejszy od batowskiego.“ Zdziwił on nawet nieprzygotowanych do tak bezprzykładnej pomyślności zwycięzców. Mając teraz otwartą przed sobą drogę nietylko do Wołoszczyzny lecz do całej Korony, zawahali się oni jakby przestraszeni wielkością swojego czynu, i zamiast na bezbronną i przerażoną uderzyć Polskę, cofnęli się nieśmiało w swoim pochodzie. Dopiero po dłuższej nieczynności wróciła im ochota do działania, ale i teraz było to działanie nader mdłe, bezskuteczne. Bohdan Chmielnicki z częścią Tatarów postąpił pod mury Kamieńca Podolskiego, i kilka tygodni w próżnem oblęganiu twierdzy straciwszy, wrócił w dziwnie skruszonem usposobieniu na Ukrainę. Tymoszek z resztą Tatarstwa i z potrzebnym do zamierzonej uroczystości dworem weselnym ruszył w dalszą drogę do Jas.

Nie było już sposobu uwolnić się tam od zięcia niepoczesnego. Jakoż „czyniąc co musiał“, zgodził się nań ostatecznie hospodar. Owszem sama nawet hospodarówna rada była nakoniec rozstrzygnięciu się dręczącej niepewności jej losów, i jak o tem wiarogodne doniesienia ówczesne prawią — „z upragnieniem wyglądała Tymoszka, a pieśni ukraińskie śpiewać sobie kazała.“ O jedno tylko chodziło rodzinie hospodarskiej, aby pan młody nie sprowadzał z sobą do kraju wszystkich owych tłumów kozackich i tatarskich, które tak straszną klęską naznaczały pod Batowem jego pochód weselny. Usłyszawszy też o bliskim granic wołoskich zięciu, obesłał go hospodar listowną prośbą o rozpuszczenie towarzyszących mu wojsk, jeśli synowskiego przyjęcia doznać chce w Jasach. „Bogini wojny“ — pisze Lupuł w kronice do Tymoszka — złą swachą godom weselnym, i smutne pląsy przy poszczęku hufców orężnych. Odpraw Tatarów, skłoń ojca do pozostania z Kozakami w swoich granicach, przybądź sam w przystojnem towarzystwie, a córka moja czeka cię gotowa u stóp ołtarza.“

Jeszcze wymowniej, bo nadsełką upominków bogatych, przemówił hospodar do wodza tatarskiego Nureddyna sułtana. Dzięki takim zabiegom i osobliwszemu teraz złagodnieniu obu Chmielnickich stało się zadość bezpieczeństwu Wołoszy. Tatarzy pod Nureddynem sułtanem i Kozacy pod Bogdanem Chmielnickim zatrzymali się u jej granic, aby niebawem opuścić je całkowicie. Sam tylko Tymoszek na czele kilkutysięcznego orszaku ruszył dalej ku Jasom, wyprawiając przed sobą mnogie poselstwa i listy do hospodara w celu porozumienia się z nim względem ostatnich ceremoniałów przyjęcia i obrzędu ślubnego.

Nareście około połowy miesiąca sierpnia, w dziesięć tygodni po krwawej klęsce batowskiej, stanęła weselna drużyna kozacka na upragnionej ziemi wołoskiej. Przybywał pan młody wielkim strojnym taborem, ale bez umówionej ową przeddwuletnią ugodą kompanii i polityki polskiej. Cały orszak Tymoszków składał się z wybranego oddziału jazdy kozackiej, z licznej gromady spokrewnionych z Chmielnickimi dam i swaszek kozackich, z tyłu za obozem na kilkudziesięciu wozach jadącej, wreście z długiego szeregu pakownych teleg i maż ukraińskich z przyborami stroju, z darami, z mnóstwem najrozmaitszych towarów.

Jako główni doradźcy pana młodego i mistrzowie nastąpić mających obrzędów ślubnych, przewodzili całemu pochodowi dwaj sławni w późniejszych czasach Kozacy, polski niegdyś szlachcic Paweł Wyhowski i przyjazny zawsze związkom z Polską Tetera. Jak za ich sprawą wystąpił w Jasach Tymoszek, jakim w ogólności sposobem odbyły się tamże sławne gody weselne, opisał bardzo szczegółowo jeden z bawiących wówczas na dworze hospodarskim Polaków, nieznany zresztą ani z imienia ani z urzędu. Jego też własnemi słowami opowiemy tu dla większej wiarogodności całą uroczystość pamiętną.

(C. d. n.)

W JASSYRZE.

(Poemat historyczny),

JANA KANTEGO TURSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XIII.

O! biedne serce, jakież wielkie próby,
Zseła Bóg twoim świętościom do boju —
Jakżeż to blisko w tym boju do zguby!
Ktoż w nim zwycięzcą odetchnie w spokoju?
Kto swych świętości pokusą nie skala,
I wiary świętej dochowa do końca...
Boże!... świat zliczył dziś plamy i słońca,
Choć je twa miłość dla świata zapala!
Hetmana dusza nigdy nie ulegnie
Piękności piekła, i serce nie zmięknie,

On, przed Fatimy pięknością nie zegnie
Czoła swojego — choć ona tak pięknie
Tak strasznie okiem iskrzącem się... nęci.
Bo hetman... na te wszystkie kwiaty wschodu —
Ma w duszy wieczny kwiat polskiej pamięci,
Kwiat wiary w Boga — uczuć dla narodu —
Lecz!... czyliż prawdę powiedział Fátimie,
Że jej urocze oblicze — szkaradą?...
Że zbrzydło wszystko w namiętności dymie,
I na twarz piękną, smętną, rzewną, bladą
Z duszy jej czarnej wybiegło sto żmii...
Że nie jest godną miłości niczyjej?...
Czy hetman nie czuł tego ognia siły,
Który w namiętnem sercu jej się palił...
On młody! więc mu jassyr taki miły,
Że się dla niego przez nią nie ocalił?
I tak stanowczo odepchnął Turkinię,
Co u nóg jego zawisła z pokorą?...

Gdy wrócił, niewiem — duszę swoję chorą
Leczył... czy pamięć topił swoją w winie?...

I minął wieczór hetman nic nie gadał,
I dzień upłynął jeden, drugi, trzeci —
On pije wino, a gdybyś go zbadał,
Ujrzałbyś — jako oko wiarą świeci...
Jaki tam ogień pali się przeczysty,
Choć czasem pokus chmurkami i mglisty...
Lecz czemuż smutny!! może tęskni za nią...
O! ktoby myślił... temu śmiać się w oczy,
On duszą swoją rozmawia z swą panią,
I taka żałość po żonie myśl tłoczy,
Że chwili nie ma odetchnienia jednej...
Bez biednej żony... młody hetman biedny...

Miłość Fatimy choć tylko namiętna,
Stłumione długą niewolą uczucie
Wskrzesiła w sercu... i dusza pamiętna
Może za chwilę cierpienia — w pokucię
Takiej się po nim domagała wiary,
Że biedny hetman silny zawsze męztwem,
Bał się, by jakie tajemnicze czary
Nie opętały go swojem zwycięztwem.
I taki silny, przecież nie był pewny
Swojej potęgi skutków i tak bolał
I taki cichy był odtąd i rzewny,
Że zda się, śmierć by, niż zwycięztwo wolał...
Widział przed sobą piękną córę wschodu,
W jej sercu dotąd tak zimnem, tak twardem,
I na miłości płomienie tak hardem,
W sercu, miast ognia pełnem zimy chłodu,
On tylko jeden umiał czucie wzbudzić,
I choć stu innych musiało się trudzić
Daremną walką zyskania jej względów,
Ona — pomimo jego wiary błędów,
Czuła, że serce umiał jej obudzić.
Jego wzrok, słowa, i spokój ten wielki,
Z jakim w miłości ku żonie był stałym,
Tak go w jej oczach uczynił wspaniałym,
Że odtąd, myśli zaniechawszy wszelkiej,
Hetmana słowa słyszała wciąż w duszy,
Słowa, boleści pełne i zgryzoty,
Odtąd świat cały tych słów w niej nie zgłuszy,
Które ją pierwszej uczyły tęsknoty.

XIV.

Fatima była wierną wschodu córą...
Urocza piękność jaśniała jej w czole,
Nieznaną innym, zasłoniętem chmurą,
Nową jej serca malującą dolę.
Wierna siostrzycom swym, gorącość duszy
Wdziękiem postaci swojej ozdabiała.
Lecz — choć dziew takich uczucie nie wzruszy,
Chociaż Turkini zatopiona cała
W rozkoszy życia bez tej świętej treści,
Która się w sercu dziatwy bożej mieści,
Chociaż Turkinie serc swoich nie gubią,
I nie kochają nikogo, lecz lubią,
Fatima do ich przymiotów i wdzięku
Tę świętą duszy dochowała cnotę,
Z którą człek idąc... niby z krzyżem w ręku
Pewny zwycięztwa — miała serce złote.
I dziwnem losu i życia zrządzeniem,
Nad inne była wyższą swemi cnoty,
Nieznanem jakiemś żywiona natchnieniem
Umiała bliźnich rozumieć zgryzoty.
Blaskiem nieznanym jej dusza świecąca
Świat pojmowała zupełnie inaczej...
Nie córa wschodu — lekka i gorąca,
U niej nieszczęście więcej stokroć znaczy,
Niż przeznaczenie wielkiego koranu —
Ona wierzyła. . nie ufając Panu.
Dziś, kiedy więźniów zwiedzając ujrzała
Szlachetne oko młodego hetmana,
Czuła, jak w sercu jej ta nuta drżała,
W wielkim koranie ich nieprzepisana,
Która natchnienie do jej czynów niosła,
I czuła, że ta nuta taka była,
Co niegdyś w sercu jej litość budziła,
Litość, współczucie, i łzę czasem w oku,
I płynąc w młodych przypomnień obłoku,
Nie znając przyczyn, na duchu tak rosła,
Że gdy ta skryta, niezbadana władza,
Która do serca nam miłość sprowadza,

Do niej przez oczy mówiła hetmana,
Była tak silną, iż chcąc sercu radzić,
Musiała miłość swoją zaraz zdradzić,
Choć kochająca nie była kochana.

„Bracie wezyrze! wszak władasz w tym kraju,
Rzekła Fatima i smutna i rzewna,
„Pozwolisz, aby najbliższa twa krewna
„Złamała prawo świętego zwyczaju?
— A wezyr dumny, ale rad siostrzycy,
Rzekł: „Takiej, wszystko wolno jest dziewicy.
„Rób co chcesz!“ — wtedy radośna Fatima
Ścisnąwszy bratu rękę, zawołała:
„Ja chcę powtórnie zwiedzić Jedykułę.“
— „Ha! Siostro! Takie masz serduszko czułe...
„Czy cię giaur jaki czarami nie znęcił?...
„Ha! jedź! wszak litość nakazuje Ałła.“
Rzekł i wesoło wąsy długie kręcił
Śmiejąc się z żartu — ona się nie śmiała.
Fatima blada i drżąca z radości
Zwołała wszystkie swoje wierne sługi,
I z sercem pełnem szczęścia i miłości,
Do Jedykuły jechała raz drugi.

XV.

Hej! Jedykuły ago ciesz się znowu,
Niespodziewana pomyślność połowu
Czeka cię. Piękna Fatima przybywa
I nagradzając to, że zwyczaj zrywa,
Hojnie cię złotem uposaży za to,
Choćbyś ty nie chciał może, by zapłatą
Ludzie od ciebie kupowali względy,
Ciesz się, jest złoto, będą i urzędy.
Ty nie wiesz pewno ani nie odgadniesz,
Jak teraz złotem Fatimy zawładniesz,
I w jakie łaski u niej się zakradniesz,
Ciesz się... Na barce do twej Jedykuły
Jadą dukaty do twojej szkatuły,
Szczęśliwyś ago — już na powitanie
Złotą ci rękę podało twe panię,
Śliczne! — jej oczy tak uroczo płoną,
I takiem szczęściem uderza jej łono,
Że gdyby tylko nie te stroje wschodnie,
W których Fatimie pięknie i urodnie,
Mógł byś rzec, że jest świętą jaką dziewą...
Tak była piękną, czując się szczęśliwą.
Czemuż szczęśliwą? czy przeczucie miała,
Że będzie słowa hetmańskie słyszała
Pocieszające i kojące duszę?
O! nie — bo ona w swojej szczerej skrusze
Czuła, że hetman serca nie okłamie,
I że swych ślubów ni wiary nie złamie...
Czuła — i szczęściem dla niej to już było,
Że go zobaczy i że go usłyszy.

Hetman w więziennej swojej głuchej ciszy
Siedział zaduman nad tem czego niema,
Więc nie dowidział gdy weszła Fatima.
„Ha! dobrze!“ — rzekła i cicho się skrada,
Wszak czasem chwila niespodziana wyda
To, czego człowiek długi czas nie zbada.
Stanęła, rączkę na jego ramieniu,
(Rzekłbyś nie bluźniąc, że jak anioł cudna) —
Złożyła lekko. Hetman w zadziwieniu
Zwrócił się ku niej. Nadzieja obłudna...
Wnet z serca biednej Fatimy odbiegła,
Kiedy wzrok jego w tej chwili spostrzegła,
Wzrok ten od serca oderwan przedmiotu,
Drżący łzą jeszcze nie spadłą — gorącą...
Był kwiatem uczuć... z jego wiary splotu
Wzrok ten boleścią był przemawiającą
Do serca, które jeszcze silniej zrani,
Wszak boleść, ani łzy jego nie dla niej.
„Witaj młodzieńcze — mówiła tak rzewnie,
Że stu by innych przełamała pewnie,
„Witaj hetmanie! — ulżyć twej niedoli
„Nie mogąc — ulgę swemu sercu znoszę.“
A hetman powstał: „Przerwałaś rozkosze,
„Przerwałaś mary serca i niewoli.“
— „Wiecznie toż samo!“ westchnęła Turkini...
— „Przebacz, jam serce przedał już wieczności,
„Tutaj uderza, lecz żyje tam przy niej,
„Przebacz mi sercu, przebacz mej szczorości,
„Wdzięczen za litość nad moją niedolą,
„Nie mogęć dzięków czynić, żeś przerwała
„Bolesne myśli, które mnie nie bolą,
„W których się moja przeszłość snuje cała.“
I rzekłszy odszedł — Fatima jałmużny
Rozdała więźniom i wyszła, hetmana
Wzywając z sobą. On jej wdzięczność dłużny
Poszedł — spokojny, choć go serca rana
Biednej Fatimy przejęła boleśnie,
Choć ją wspominał w marzeniach i we śnie.

Biedna! jej miłość, choć ją uzacniła
I z tłumu dzikich Turkiń wynosiła —
Była jej jarzmem okropnem — bo miłość
Tylko wzajemną pocieszysz miłością,
Jej nie nagrodzi przyjaźń ni zażyłość,
Choćby z najszczerszą złączona godnością.
Biedna Fatima — kochaniem tak wzniosła,
Upokorzoną czuła się ogromnie,

Mogłaby nie czuć, gdyby żyjąc skromnie
Trwała w tem wiecznie, wśród czego urosła.

(C. d. n.)

Zapóźno.

(Ustęp powieściowy z galeryi serc kobiecych).

U państwa Alfredów zapowiedziany był wielki wieczór. Okolica, pełna szlacheckich dworów, półpańskich pretensyonalnych pałacyków, obiecywała liczny zjazd; we dworze więc państwa Alfredów był ruch niemały, który jednak odbywał się z taktem i porządkiem, co przemawiało bardzo za zamożnością domu i dobrym jego zarządem. Wieczór się zbliżał, oświecono rzęsisto salony i długie strugi złotego światła padły drżące w ciemny ogród na murawę i jaźminy.

Pani Alfredowa kończyła toaletę. Bogaty ale pojedyńczy ubiór podnosił wdzięk posągowych jej kształtów, a ciężkie, ciemne ubranie na głowie, spięte łyskającemi brylantami, cudnie kłóciło się ze splotami jej jasnych włosów. Pani Alfredowa należała do tych kobiet, które nietylko lubią, ale i umieją się ubrać; a była w chwili, kiedy ją poznajemy, w zenicie swej piękności, jak róże przed okwitem: miała lat 38. — Kończąc toaletę zmrużyła wielkie, szafirowe oczy, i przez długie, czarne rzęsy przedarło się ciekawe spojrzenie do zwierciadła; zwierciadło musiało jej powiedzieć że piękna, bo lekki uśmiech zadowolenia przeleciał po dumnem, białem czole. Wstała i zadzwoniła. Wszedł lokaj.

— Czy już wszystko gotowe?

— Już! jasna pani!

— Zapalić lampy u bramy — lokaja odchodzącego wstrzymała zapytaniem: — Gdzie pan?

Jeszcze zakłopotany lokaj niewiedział co odpowiedzieć, gdy drugiemi drzwiami wszedł pan Alfred. Był smutny, blady i cierpki. Pani Alfredowej nie w smak był ten humor męża — spochmurniała.

— Odejdź! — rzekła do lokaja, potem odwróciła się do męża.

— Cóż? ty nie ubrany?

— I nie będę się wcale ubierał, nasz Adaś bardzo zasłabł.

— Kiedy?

— Wczoraj jeszcze podobno — rzekł Alfred i twarz miał bardziej cierpką.

Wy matki, którym miejsce przy kołysce dziecięcia klęcznikiem ciągłym się staje, które radością witacie każdą myśl budzącą się na twarzy dzieciny, każde słówko, co niewyraźnie drobne ustka wyszczebiocą — wy nie zrozumiecie może jak mogła matka niewiedzieć, że jej dziecię słabe, i to jeszcze od wczoraj słabe. A przeciez salony znają takie matki bez potępienia ich, bo dobry ton trzyma zawsze za parawanem serce i dzieci. Pani Alfredowa niechciała być śmieszną, więc mamkom, piastunkom, a potem bonie oddawała pod zupełny zarząd dzieci, a sama *czuwała* nad niemi tj. w chwilach wolnych od wizyt zaglądała do nich, lub je do swego gabineciku przyprowadzać kazała.

— Słabe biedactwo, a mnie nikt nie mówił o tem — rzekła pani Alfredowa.

— A mnie powiedziano ledwie wróciłem z jarmarku.

— To trzeba będzie posłać po doktora.

— Już posłałem — rzekł Alfred i zbliżył się do żony. Wziął jej rękę i patrząc czule w oczy prosił:

— Konstancyo! *) zrób to dla mnie i dla twego dziecka, i odwołaj bal dzisiejszy.

— Ależ śmiesznym jesteś mój kochany — i ruszyła białemi ramionami — któż widział wracać gości z drogi?

Alfred wyjął zegarek.

— Ledwie za godzinę się zjadą, jeszcze czas wysłać posłańców z przeproszeniem, ja proszę!

— A ja proszę, żebyś się ubrał i o Adasia był spokojnym.

Zadzwoniła i odwracając się do garderobianny:

— Czy panna już ubrana? — spytała.

— Już prawie.

— Jak się ubierze niech mi się sprezentuje, idź!

Alfredowi krew uderzyła na twarz. Ten spokój matki wśród choroby dziecka, ten chłód żony przed prośbą męża rozwściekliły go; ale choć wzruszenie burzyło mu piersi, głos ułożył w cichą, słodką prośbę:

— Konstancyo! mnie ten bal nie na rękę — ja sam trochę nie zdrów, głowa mnie boli.

— To przejdzie mój kochany, każ sobie podać musujących proszków — rzekła Konstancya równie czule.

— Czy ciebie tak mało obchodzą nasze dzieci, że dla nich trudno się wyrzec zabawy?

— Ależ dla balu dziecko nieumrze — słabość dziecinna przejdzie, a przytem doktor będzie przy nim.

— Ale matki nie będzie — rzekł Alfred i pocałował jej rękę — Konstancyo zrób to dla mnie.

Ręce mu drżały bardzo. Konstancya odwróciła się od niego i wzrok jej padł w zwierciadło, żal jej było toalety, w której była tak piękną i zwróciła się do męża z uśmiechem:

— Nie nudź mnie już mój drogi! balu nieodłożymy, bo to śmiesznie, więc idź się ubierać.

Alfred wybuchnął.

— Balu niebędzie, ja nie chcę, wszystko podrę na tobie.

Konstancya cofnęła się i spojrzała na męża imponująco, ale dumny wzrok nieuspokoił rozjątrzonego Alfreda, skoczył ku niej i chwycił ją za suknię.

— Cóż to — sceny? — i zadzwoniła silnie, gwałtownie.

Weszła służąca.

— Poprawisz mi ubranie na głowie — a do męża rzekła z wymuszonym uśmiechem — mój kochany zostaw nas na chwilę.

Alfred wyszedł wzruszony, gwałtowny.

Panna służąca spoglądnęła domyślnie, ale wnet oczy nakryła powiekami, spotkawszy się w lustrze z poważnym badawczym wzrokiem pani Konstancyi. Pani Konstancya była spokojna, jeno wargi trochę jej pobladły i drgały trochę.

Drzwi się cicho otwarły, i do gabinetu matki weszła nieśmiało Zosia w różowej sukience.

(C. d. n.)

Śmierć Mniszki **).

Słońce krwawo zachodziło po za zielone góry i smętnym, ponurym blaskiem, jakby płomieniem gromnicy oblewając okolicę, złociło kopuły klasztoru, co jej z dzikiego panował wzgórza. Był to stary, sędziwy mona-

*) Dowiedziawszy się od męża o jej imieniu, odtąd ją panią Konstancyą nazywać ośmielimy się.

**) Zdarzenie to opowiada Bielski w Kronice swojej.

ster, który tuląc się między ciemne gór szczyty, tem wyżej, nito skamieniałą modlitwą wznosił się pod błękity.

Właśnie zadźwięczał srebrną nutą na „Anioł pański“ czysty głos dzwonka i łamał się jakiemś żałosnem echem o grzbiety gór sąsiednich. Czegoś tak złowrogo bije serce klasztornego dzwonu, czegoś tak rzewnie puka o kruszcowe swe piersi, jakby żegnało na zawsze samotną ustroń, jakby wraz z ostatnim swym jękiem miało zamrzeć na wieki.

Jakież bo to głosy rozhukane mięszają się z dziewiczą melodyą dzwonka, jakaż to dzika wrzawa przerywa święte milczenie okolicy?... Wąską, skalistą drożyną wije się w spiesznym pochodzie żołdacka jakaś tłuszcza — czerwono lśni jej żelazna zbroja, a wzrok jej rozżarzony tkwi na szarych murach klasztoru. To jeden z oddziałów najazdu, co niszczącym zagonem zalał te strony.

Za nim dokończył swej modlitwy dzwonek monasteru, dotarli zbrojni mężowie do świątyni, i wśród groźnego poszczęku orężów wpadli tłumnie w jej wnętrze. Czekał ich tu widok zdolny powstrzymać nagle ich kroki—gdyby prócz hartownej stali na piersiach, nie mieli innej, gdyby nieskowane były ich serca trzykroć twardszem żelazem żołdackiej nieczułości.

U podnoża ołtarza przed rozpiętym na krzyżu Chrystusem klęczały wśród modłów wieńcem zakonnice. Na twarzach ich kornie pochylonych rysował się wyraz głębokiego nabożeństwa, a z ust ich ulatywała głośnem pieniem cześć Bożej-rodzicy. Lecz dzikie wojaków dusze nie przejęły się tą sceną.

— Naprzód! zawołał groźny przewódzca i uśmiech szyderczy przebiegł mu po licu ponurem — naprzód! Pohulamy z temi dziewczętami... Szable do pochwy i spisy na bok!... Na łonie pięknych zakonnic wypieścimy sobie odkrycie tajemnicy ich kościelnych skarbów!...

Szalonym śmiechem zawtórzyła mu żołnierska tłuszcza i rzuciła się do ołtarza. Z trwogą i przerażeniem poglądnęły po za siebie dziewice, a ujrzawszy bieżącą na nich zbrojną rotę wydały okrzyk przestrachu i zbiły się jak popłoszone gołąbki w jedno grono, tuląc się do ołtarza i klęczącej wśród nich ksieni, poważnej zgrzybiałej staruszki.

Rozuzdana tłuszcza rzuciła się na nie, a okrzyk wojowników zmięszał się z trwożnemi głosami zakonnic,..

Pomiędzy ciemnemi postaciami mniszek, tuż obok sędziwej ksieni klęczała młoda, strojna czarującym urokiem urody, poślubiona Bogu dziewica w klasztorne przybrana szaty. Oblicze jej anielską uświetnione pięknością, jaśniało blaskiem nabożnego zachwytu, a z ócz strzelających łagodnym płomieniem wyczytać można było bohaterskie męstwo. Wspaniała jej kibić wstrzęsła się od zgrozy, a z ust brzmiały urywane słowa:

— Ratuj twe służki i oblubienice Synu Boży!...

Dostrzegły pięknej mniszki roziskrzone oczy żołdaków i w wzajemnych wyścigach rozwarły się po nią zbrojne ich ramiona.

— Stójcie! — zawołał naraz sam przywódzca. — Niech żaden dotknąć się jej nieważy... to dla mnie!...

I zmuszając twarz swą dziką i posępną do łagodniejszego uśmiechu, porwał uroczą mniszkę od ołtarza. Przerażający okrzyk zgrozy, który się wyrwał z piersi dziewicy, choć go jakby jękiem współczucia powtórzyły głazowe mury świątnicy, nieporuszył zakutej piersi przewódzcy. Twarz jego zapłonęła ogniem rozpusty, oczy błysnęły lubieżnym żarem i z obrzydłem przymileniem pochwycił swą ofiarę w ramiona.

— Na Boga ukrzyżowanego i Jego Matkę Bolesną! puść mnie w pokoju!... — zawołała dziewica.

— Niezaraz lubko!.. — odparł wojownik i natrętniejszym jeszcze oplótł ją uściskiem.

— Nieważ się — wołała dalej dziewica głosem dziwnej powagi i świętego gniewu — nieważ się trzymać mnie, poślubioną Jezusowi oblubienicę, bo jego ramię potężne zetrze cię za sromotną twoję śmiałość.

Lecz i te słowa groźne potęgą nadziemskiego rozkazu nieporuszyły rozpasanego dziką chucią wojaka.

Naraz strzelił na twarzy nieszczęśliwej dziewicy wyraz jakiegoś natchnionego pomysłu, błysnęła jakaś niespodziewana ufność ratunku.

— Odstąp odemnie! — a zaklęciem tajemnych potęg udzielę ci środka, który cię uczyni bezpiecznym na wszelkie razy i pociski wrogów... Ciało twe stanie się jakby głazem nigdy nieskruszonym, a gdy wśród morderczych ciosów wszyscy twoi lęgą towarzysze, ty szydzić będziesz z włóczni i miecza, bo nikt cię, zbrojnego mocą mego tajnego sposobu zranić niezdoła ..

Niewzruszonego najczulszem błaganiem, niepowstrzymanego najstraszniejszą groźbą wojownika zachwiała tak miła i powabna dłań obietnica osobistego, cudownego bezpieczeństwa w boju. Zaśmiała mu się słodka myśl przyszłych tryumfów i przyszłej sławy, skoro mimo szalonej śmiałości i zapamiętałego rzucenia się na niebezpieczeństwa walki, wyjdzie z niej zdrowy i cały. Gwałtowny jego uścisk zwolniał — jednakowoż nie zaufał zupełnie dziewicy i z niedowierzaniem na nią spoglądał.

— Niewierzysz?... — rzekła mniszka — otóż w dowód, że posiadam taki potężny, tajemniczy środek, schylam bez obawy moją szyję pod miecz twój ostry, a choćby i tysiącem razów, najmniejszej niezadasz mi rany...

I puszczona od rozciekawionego rycerza dziewica uklękła, nachylając głowę ku ziemi. Z piersi jej wydobyło się westchnienie ciche, jakby prośba i podzięka zarazem Bogu, twarz skraśniała nadziemską ufnością w Bogu, dusza utonęła w modlitwie.

Żołnierz w większej połowie wierząc jej słowom, dobył oręża i z całą siłą swego ramienia uderzył nim w łabędzią szyję dziewicy.... Okropne przerażenie wstrzęsło jego piersią... Anielska głowa pięknej mniszki, upromieniona aureolą świętego szczęścia — potoczyła się do stóp jego...

Dzwonek zajęczał na wieżycy — a rycerz wybiegł z świątyni pełen zgrozy i zdumienia nad śmiercią Bogu poświęconej dziewicy...

W. Ł.

TEATR.

W dalszym ciągu tygodnia d. 1go b. m. przedstawiono: „Ręce Czarodziejskie“, komedyę p. Scribe i Legouvè w 5 aktach. Ręce te czarodziejskie należą do bohaterki Heleny, księżniczki czy hrabianki; ale ubogiej i będącej na opiece, raczej łasce bogatej babki i wuja. Za tę łaskę odsługuje się ona ciągłą pracą damskich robótek, które arcymisternie wykonywać umie. Lecz jest piękną, a ma rówienniczkę miłą i poczciwą Bertę, bliższą jednak pokrewną babki i bogatszą, dla tego piękność Heleny zaczyna trochę zawadzać. Po scenie nader bolesnej dla szlachetnego serca Heleny, w której babka wręcz jej wyrzuca łapanie na męża Alfreda, znów jakiegoś kuzynka całej familii (a przeznaczonego dla Berty), Helena pomimo rozpaczy Alfreda, Berty i uwielbiającego ją bezinteresownie jakały Ryszarda, oddala się z domu na zawsze. W Paryżu pracuje swemi rękami (czarodziejskiemi) po całych dniach i nocach, i żyje w największym niedostatku, nie wspierana od nikogo ze swej familii, tylko od zacnego delikatnego Ryszarda; wkrótce cudowne jej krawieckie roboty nabierają rozgłosu, a ona przez nie

przychodzi do majątku i wpływu Wpływ ten wywiera ona szczególniej na margrabinę siostrę ministra, jedną z tych lekkich grand-dam francuskich, które na widok źle zrobionej sukni spazmów dostają. I tutaj przypadkiem schodzi się z całą swoją dawną familią, a naprzód ze swoim wujem i babką, którzy przyszli do margrabiny z prośbą o wstawienie się za nimi do ministra. Dumny wujaszek albowiem stracił przez spekulacye wszystko, i potrzeba mu się ratować nową jakąś spekulacyą zależną od zezwolenia ministra. Ale cóż! margrabina dziś nie przyjmuje, a tu dziś właśnie ostateczny termin ratunku. Jak anioł opiekuńczy wyrabia im wstęp Helena, przybyła właśnie poprawić suknie margrabinie. Lecz wszyscy jeszcze myślą, że wpływ ten pochodzi z jakiego znakomitego ożenienia Jakież rozczarowanie, gdy się dowiadują że ona jest tylko *znakomitą mistrzynią w krawiectwie!*

Nie przebiegamy szczegółowo dalszych scen; dosyć, że Helena wpływem swoim i majątkiem ratuje całą zrujnowaną familią, i oddaje rękę Alfredowi, którego wiernie i ze wzajemnością kochała,—a wsz stko sprawiły ręce czarodziejskie: czyli praca w najszlachetniejszem znaczeniu. Nie wiele mamy francuskich dzieł dramatycznych z podobnie piękną tendencyą, w którejby zarazem tak naturalnie charaktery i sytuacye odtworzone były. Nadzwyczaj wiele dowcipu przy Molierowskiej lekkości snucia scen po sobie, zaciera pewna niepotrzebna skończoność już po akcie drugim, ujmująca trochę dalszej ciekawości.

P. Benda w roli jąkały Ryszarda, (trudnej bo nie komicznej, ale seryo i szlachetnej) zainteresował i pociągnął ku przedstawianemu przez siebie charakterowi sympatyą, co już wiele świadczy na korzyść autora i artysty. Pna Hoffman rolę Heleny odegrała z czuciem, atoli radzimy wyrabiać więcej jeszcze głos i ruchy, aby uniknąć monotonności lub tak zwanej „maniery“; a trafia się to często bardzo pomimo talentu tam, gdzie brak wszelki wzorów lub studyów. Pna Biedrońska charakter naiwny Berty oddała bardzo starannie

Widzieliśmy potem na benefis pani Miłaszewskiej: „Matkę rodu Dobratyńskich“ Grillparcera. Sztuka ta, tak pełna niegdyś rozgłosu, dziś tylko znakomitą podniesiona grą zająć może. Liche tłómaczenie rymowane, asthmatycznemi końcówkami niezmiernie psuje okrągłość i podniosłość opowiadania, a legenda familijna popełnionej jakiejś zbrodni ciążącej następstwami na pokoleniach, uwidoczniona tylko trupim ciągle się ukazującym widmem, bynajmniej do smaku dzisiejszego nie przypada. Wprawdzie i w Szekspirze występują także duchy, ale tam są one tylko uosobistnieniem sumienia lub fantazyi, bo Hamlet rozmawia z żalem i rozpaczą, nie z duchem,—tu zaś matka rodu zabija wszelką samodzielność charakteru bohaterów dramatu, bo *kieruje* nimi, działając niby w duchu swej zagrobowej missyi Niechby ona nie rządziła tak ustawicznie na scenie, ale istniała raczej w imag nacyi działających, to byłaby sztuka zyskała chociaż w kolizyach i efektach—tak nawet zaś nie przypominając klasycznych tragedyj Sofoklesa, gdzie zgrozą przejmuje fatum artystyczne popychające Edypa do zabicia ojca i poślubienia własnej matki, wprowadza nas chyba w owe średniowiecznie rycerskie pojęcia, w których nie można pomyśleć sobie burgu bez strasznych zbrodni, minstrelów i baśni.

Po pani Miłaszewskiej widać że jest wyrobioną artystką—zapał artystyczny przebija się u niej często w prawdziwie efektownych miejscach, atoli w zwykłym toku sztuki porusza się za lekko i obojętnie. Zawsze jednak pochwalić trzeba Dyrekcyę za ten nabytek. P. Królikowski jako Jaromir, odegrał wiele scen z przejęciem się—mógłby to czynić zawsze, gdyby się strzegł rutynistycznej deklamacyj i akcentowania zanadto twardego, szczególniej tych wyrazów, w które głoska *r* wchodzi. Akcentowawanie takie nie dodaje mocy wyrażanemu uczuciu.

W „Życiu Szulera“ — sztuce dawno już znanej, grał p. Królikowski najlepiej.

(C d. n.)

Gospodarstwo.

Zdawna twierdzą, że mężczyzna trzyma jeden węgieł domu, a kobieta trzy. Dla tego zwracając się do gospodyń naszych, wyrzekę następujące słowa: Aby gospodarować, potrzeba aby było na czem gospodarować, a zatem powinniśmy, im większą mamy skłonność do gospodarstwa, tem usilniej starać się, by ziemia, krwią naszych przodków przesiąkła, nie przechodziła w obce ręce, więc abyśmy nie narzekali tak gorzko, jak już nieraz narzekali Wielkopolanie z powodu utraty ziemi, (ziemi, niezbędnego warunku dla bytu narodowego), i jak obecnie narzekają na utratę dóbr Stanisława hr. Mycielskiego, wynoszących 21,000 morgów, (zapewne magdeburskich), które zakupili żydzi niby, a które właściwie miał zakupić książę Augustenburgski. Panie! z Wami nam miło na ziemi ojczystej, Wy też starajcie się, aby na zawsze naszą pozostała

---

Wiadomości literackie.

Rzecz niezaprzeczona, że Francuzi i ich romansopisarze. nauczyli nas pisać namiętnie — powieści i romanse Nasi powieściarze z małemi bardzo wyjątkami prawie wszyscy urośli na Dumasach Sue'ch, Kokach, Georg-Sandach - tak jak wszystkie późniejsze próby naszych dramatyzowań na krok Kalderonów i Szekspirów nie opuszczały. Głównym charakterem francuskich romansów była i jest namiętność. Namiętności wprawdzie Polakom odmówić nikt nie może, namiętne więc strony powinnyby się także w powieściach polskich odsłaniać, lecz nigdy ta namiętność na prostym nie wzrosła honorze, ale jej źródła w sercu koniecznie nam szukać. Jak zaś Francuzi lubią i cenią tę namiętność swych autorów dowodzi tego ostatnie ukazanie się romansu p. Georg-Sand pod t: *Valvedre*. Z okoliczności tej pięknie skreślony artykuł Tygodnika Poznańskiego, zasługuje na naszą uwagę. — Autor tego artykułu wspominając o namiętności romansów francuskich, powiada że Francuzi, oraz obce narodowości, nadzwyczaj w niej teraz smakują Dopóki Georg-Sand malo bardzo zwracała uwagi na moralność, dotąd romanse jej, zaledwie się ukazały, przekładano czemprędzej na obce języki, od czasu zaś, jak więcej zaczęła mieć względu na moralność, mniej daleko wychodzi przekładów jej dzieł.

W romansie np. *Valvedre*, który się ukazał najprzód w feuiletonie „Revue de deux mondes“ — przedstawia ona czytelnikowi, jak się pomieniony artykuł wyraża, niezmordowanego badacza natury nazwiskiem *Valvedra*, poświęcającego szczęście rodzinnego kółka dla swych badań i naukowych wycieczek. Żona jego czując się przez niego zaniedbaną szuka pociechy w przywiązaniu młodego człowieka Franciszka Valigny, który ją ubóstwia. Żyd Moserwald, w romansie tym po mistrzowsku oddany, a przedstawiający kontrast najwyższy ograniczonych władz umysłowych i wygórowanej uczuciowości — ten żyd ułatwia kochankom schadzki w swej altance róż, przytykającej do ogrodu pani *Valvedre*. Charakter pani Valvedre i całą potęgę jej duszy, maluje autorka w prowadzonej w altanie rozmowie Adelajdy, przeznacznej panu Valignyna żonę z młodszą siostrą Pióro Georg-Sand, pisze autor pomien. artyk. staje się pendzlem Rafaela przy oddawaniu wszystkich odcieni charakteru tej idealnej istoty. W ogóle autorka ta z większym jeszcze talentem przedstawia czyste niewinne dusze, niż pełne namiętności charaktery.“ Krytyka właśnie wręcz przeciwne r biła jej dotąd zarzuty. Romanse Georg-Sand nie licząc w nie tego ostatniego, odznaczające się bogatą fantazyą poetyczną i silną charakterystyką najdelikatniejszych odcieni duszy i serca ludzkiego, zdawały się odmawiać światu prawdziwej i rzetelnej cnoty, prawdziwego poświęcenia i szlachetności. Wszystko co się w jej romansach działo, działo się tylko mocą i pobudką namiętności. Cieszy nas przeto, że za szanownym autorem artykułu o p. Georg-Sand, tę piękną jej odmiany powtórzyć możemy pochwałę. W romansie tym Valigny zupełnie inaczej jest wystawiony, jak zwykle bohaterowie romansów p George-Sand, pełni samolubstwa, popsuci i wszelkiego uczucia pozbawieni, którzy nigdy nie umieją uszanować kochającej ich kobiety. Namiętna miłość szlachetnego tego człowieka zamienia się z czasem w spółczucie i najczystsze przywiązanie: robi dla swej kochanki nadludzkie prawie poświęcenia. Ta uciekłszy od swego męża, poczuła nareszcie wyrzuty sumienia swej zbrodni. Ze zmartwienia popadła w niebezpieczną chorobę, i jedna tylko myśl ściga ją ciągle, żeby się mogła jeszcze ze swym mężem zobaczyć, i uzyskać od niego przebaczenie. To podniesienie tak nisko upadłej duszy kobiety chlubnie za panią Georg-Sand przemawia—tem bardziej, że autorka nawracającej się grzesznicy pokuty darować nie chce. Pani *Valvedre* sama w całym romansie odnosi karę za swe grzechy. Dawniej, niezawodnie, byłaby Georg-Sand nie obeszła się z nią tak surowo; lecz teraz kazała jej odpokutować za złamanie świętości małżeńskiego związku; może dla ukarania Akademii, która dla tego nie chciała przyznać nagrody tej autorce, iż w swych dziełach nie szanuje świętości małżeństwa.

Powieść *Valvedre* w przekładzie polskim wychodzi obecnie przy „Dzienniku literackim.“

— W Poznaniu obecnie rozpoczyna się druk dwutomowej powieści Pauliny z L. Wilkońskiej, pn. *Kazimira*, w której zawarty jest dziennik z Krakowa, przez bohaterkę powieści pisany.

Pisze zaś Paulina Wilkońska powieść, której bohaterką jest młoda dziewczyna zniewolona upadkiem fortuny rodziców do zostania guwernantką w zamożnym domu.

Sprostowanie: Nr 5, str. 40, szp. 1, w. 7, zam.: ją nienazywała, czyt.: jej nienazywała tylko.

W tymże Nrze i str., w Korespondencyi od Redakcyi, szp 3, w. 7 od dołu, zam.: Wzory takich, czyt.: Wzorów takich.

W Nre 6, str. 48, szp. 1, w „Teatrze“, w. 18 od dołu zam.: 30 lutego, czyt.: 30 stycznia

---

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**